

JAN RUSZ

STRACONE LATA MŁODZIEŃCZEJ ŻŁUDNEJ NADZIEI (szkice wspomnień)

Ten ostatni miesiąc pokoju, sierpień 1939 roku, w mojej rodzinnej podgórskiej wiosce (Gródek na Śląsku Cieszyńskim) rozbrzmiewał mocną, wesołą, młodzieńczą pieśnią, podczas wakacji bowiem w miejscowej szkole podstawowej rozgościli się obozem harcerze i harcerki z Górnośląskiego Hufca Związku Harcerstwa Polskiego. Ich poranne uroczyste apele i wieczorne capstrzyki przy ognisku z chóralnymi śpiewami, przy gremialnym udziale mieszkańców wsi, wzbudzały optymizm i przepełnione były radością.

Zwiastuny nieszczęścia

26 sierpnia tę patriotyczną sielankę niespodzianie zakłócił napad hitlerowskich bojówkarzy na Mosty. Harcerze w swoich letnich mundurkach, uzbrojeni zaledwie w parę ćwiczebnych karabinów, wyruszyli z brawurą w kierunku Przełęczy Jabłonkowskiej. Wciąż jeszcze traktowali tę groźną zapowiedź nieszczęścia jak dobrą, beztroską przygodę. Z Trzyńca wyjechały tam jednak jednostki regularnej armii polskiej.

Również kierownictwo obozu ZHP doceniło nadciągające niebezpieczeństwo, bo nie czekając na koniec wakacji, nakazało szybko zwinąć namioty, opuścić szkołę, i harcerze wyjechali do swoich górnośląskich domów. Nawet nie przypuszczali, że zaledwie tydzień później niektórzy z nich oddadzą swoje młode życie w walce z nieprzyjacielem gdzieś koło Katowic.

Pierwszego września wróg ponownie przekroczył granicę państwa polskiego w Świerczynowcu i wkroczył do Mostów. Sprawdziły się trwające od wielu miesięcy pogłoski o stalowych hordach gromadzonych za Kisućą i Ostrawicą. Na bystrzyckich Pasiękach już przed południem pojawiły się konne bojówki hitlerowców, które przedostały się tu przez góry beskidzkie z Protektoratu Czech i Moraw.

O bardzo wczesnej porannej porze zjawiła się u nas zatroskana babcia (nazywana „Piłsudką” z powodu jej patriotycznego angażowania się w obronę polskości), aby wspólnie z nami zastanowić się, co to się wkoło dzieje i co robić w nowej sytuacji. Mój ojciec powrócił niespodziewanie z pracy w hucie trzynieckiej jedynie po to, aby się pożegnać, bo wyruszał tam, gdzie mógł być przydatny dla wsparcia obrony napadniętej Ojczyzny. Odjechał po godzinie siódmej rano, bodajże ostatnim pociągami do Cieszyna. Później jeszcze tylko na nowych motocyklach z karabinami maszynowymi na przyczepach, w pełnym rynsztunku bojowym, przemknęły przez wieś patrole polskich policjantów z nadgranicznego posterunku. A potem nastąpiła cisza i pustka, w której powoli docierała do mojej świadomości złowroga wieść, że oto w ten słoneczny wrześniowy dzień cały mój świat pięknych marzeń dziesięcioletniego chłopca wali się w gruzy.

Nastrój grozy potęgował kolejny zwiastun wojny w postaci nisko latającego nad ziemią samolotu, oznakowanego połamanym krzyżem.

Triumf neofitów

Niedługo potem na wiejskiej drodze pojawił się człowieczek niski jak karzełek, a gruby jak beczka piwa z krzyżem na rękawie brunatnej koszuli, jaką nosili ludzie należący do Sturmabteilung (SA). Miał niespotykane tu nazwisko Tolasz i niedawno zamieszkał w Gródku. Wynajął pokój w centrum wsi w budynku kupca Adama Wałacha. Formalnie pracował jako konduktor w przedsiębiorstwie autobusowym Jana Molina. Faktycznie zaś, jako człowiek z natury towarzyski, nawiązywał wybiórcze znajomości i w zakamuflowany sposób rozniecał nienawiść do Polaków. Wraz z grupą pijanych kompanów bezskutecznie włamywał się nocą do Domu Macierzy¹, w którym mieszkaliśmy. Myślał, że tym bandyckim czynem osiągnie rozgłos i spektakularny sukces.

I oto teraz Tolasz stał się głównym organizatorem hołdu wdzięczności dla swoich mocodawców. Omamieni i skaperowani przez niego ludzie już 1 września przywlekali przygotowywane potajemnie od pewnego czasu belki, deski, flagi, hasła, transparenty i inne eksponaty na szosę, gdzie zbudowali potężną bramę triumfalną na cześć zwycięstwa III Rzeszy. Wśród tych, którym spieszyło się do zmanifestowania radości z powodu nadciągających wojsk agresora znajdowała się również moja ciotka Zuzanna Turoń, zwana „Koszarką”. Urodziła się Polką, potem przeobraziła się w Czeszkę. Po wyzwoleniu Zaolzia przez Polskę ponownie głośno demonstrowała swój polski życiorys, m.in. w obozie katowickich harcerzy, gdzie – jak się później okazało – chodziła po prostu na przeszpiegi. A teraz, jako „rodowita Niemka” (nieumiejąca słowa po niemiecku), rozwieszała z niekłamany entuzjazmem na bramie triumfalnej ogromny, rozciągany przez całą szerokość drogi, transparent ze służalczo-dziękczynnym napisem: „Wir danken unserem Führer für die Befreiung” (Dziękujemy naszemu wodzowi za wyzwolenie).

Takich, co to niczym kameleony zmieniali barwy swojej natury, charakteru i osobowości było tej jesieni sporo: Malikowie, Macoszkowie, Hawliczkowie, Czudkowie, Kluzowie, Samcowie... Oprócz tych pospolitych śmiertelnych grzeszników znaleźli się także nieoczekiwani przedstawiciele „nadludzkiej rasy”. Oto niegdyś, wydawało się, skromny kolejarz o urzekającym nazwisku Janiczek, który w roku 1938 przyjechał z Polski na Zaolzie i osiadł w budynku stacji kolejowej, okazał się teraz wojującym, butnym szpiegiem, związanym z Abwehrą – niemieckim wywiadem wojskowym. Inny „porządny obywatel”, ponoć Polak – Jan Chłoń, kierownik skromnego sklepu podległego Centrali Spożywców w Łazach, z niezwykłą energią walczył obecnie o drugą grupę volkslisty², udowadniając gorliwie swoje proniemieckie zasługi, m.in. i to, że przed wojną posyłał swoją córkę do niemieckiego gimnazjum. O przewrotności natury ludzkiej może świadczyć przykład Wilhelma Przeczka, który najpierw ostrzegał niektórych mieszkańców wioski (m.in. mojego ojca), że znajdują się na specjalnie sporządzonej przez złoczyńców liście, zawierającej nazwiska 48 miejscowych Polaków, którzy po napadzie hitlerowców mieli być zlikwidowani, a potem – po otrzymaniu drugiej grupy volkslisty – stał się jednym z

¹ Macierz Szkolna Ziemi Cieszyńskiej, polska organizacja kulturalna i oświatowa działająca na Śląsku Cieszyńskim.

² Do drugiej grupy Niemieckiej Listy Narodowościowej zaliczano osoby pochodzenia niemieckiego nieposiadające przed wojną niemieckiego obywatelstwa.

najbardziej zaangażowanych donosicieli i zadenuncjował wielu Polaków, którzy zginęli w więzieniach.

Nauczyciel czy „Koniunktur-Schwein”

Wielkim niemiłym zaskoczeniem i przykrą niespodzianką było pojawienie się w kręgu ujawniających się coraz to nowych gródeckich „Niemców” Emila Eisenberga, który przecież znany był powszechnie, jako długoletni nauczyciel polskiej szkoły. Mieszkałem obok niej w Domu Macierzy, dlatego czasem nauczyciel ów zapraszał mnie do „królestwa zwierząt”, tj. szkolnego gabinetu przyrodniczego, którego był opiekunem. Nieraz razem odkurzaliśmy znajdujące się w nim eksponaty: wypchane leśne zwierzęta i ptaki (wiewiórki, łasice, sowy, jastrzębie, zające, a nawet jelenia i sarny), które służyły za pomoce naukowe na lekcjach przyrody, czy pogładowych pogadankach o ziemi ojczystej.

Zazwyczaj też późną jesienią pomagałem mu układać do zimowego snu rozciągające się na murach szkoły krzewy winorośli, a wiosną odkrywać je i rozciągać na specjalnych drabinkach umocowanych na ścianie budynku tak, by gałęzie rośliny mogły puścić nowe pędy, zakwitnąć i wydać owoce.

Nauczyciel Eisenberg bywał reżyserem szkolnych przedstawień teatralnych i robił z nich zdjęcia uczniom-aktorom na pamiątkę. W rytm melodii prostej i rzewnej piosenki:

„A gdy poznasz miły bracie te krainy nasze,
te pomniki dawnej chwały i te gniazda lasze...”

kierował pokazami gimnastyki artystycznej oraz innymi występami młodzieży na polskich festynach organizowanych przez Macierz na zakończenie roku szkolnego. Wzbudzał ciekawość świata, uczył umiłowania ziemi i przyrody ojczystej. Krzewił w nas ducha polskiego patriotyzmu. Od września miał objąć kierownictwo nowej polskiej szkoły Na Groniu – „paralelki”, przeznaczonej dla góralskich dzieci, jedynej tego typu szkoły utrzymywanej przez Macierz. Tymczasem Eisenberg zjawił się w Gródku i obwieścił wszem i wobec, że on zawsze czuł się Niemcem, był nim, jest i pozostanie. A znajomym opowiadał, iż ma nadzieję, że otrzyma stanowisko kierownika niemieckiej szkoły i zostanie wójtem gminy.

Nie chciał być bestią

Tymczasem jeszcze w budynku gródeckiej szkoły stacjonowały wojenne odwoły żołnierzy Wehrmachtu, a już pojawił się w nim pełnomocnik do organizacji niemieckiego szkolnictwa. Jan, a raczej Johann, Smelik przybył z Dąbkowej, niedaleko Ostrawy. Był typem Niemca z czasów Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Samego cesarza niegdyś „miłościwie nam panującego” Smelik wciąż miał w wielkim poważaniu – do tego stopnia, że nieraz, intonując niemiecki hymn państwowy, zaczynający się do słów: „Niemcy, Niemcy ponad wszystko”, mylił się i śpiewał: „Boże wspieraj, Boże ochroń nam Cesarza i nasz kraj...”³.

³ Hymn Cesarstwa Austro-Węgierskiego do 1918 r.

Smelik bardzo kochał dawne Księstwo Cieszyńskie. Mówił po niemiecku, po polsku i gwara. Nikogo nie wyzywał, nikomu nie ubliżał, ale starał się nie zapominać, że przybył do wsi przede wszystkim po to, aby wśród młodzieży krzewić niemieczkę.

A jednak wielu gródczan zawdzięcza Janowi Smolikowi swoje ocalenie. Nigdy nie zgodził się on na aresztowanie kogośkolwiek z owych 48 Polaków, znajdujących się na liście, sporządzonej przez Tolasza i jego kompanów, przezywanych wówczas pogardliwie szkopyrtokami⁴.

Kiedy po raz kolejny przyjechała w tej sprawie ekipa gestapo, a Smelik był już wówczas burmistrzem, zabrał przyjezdnych do gospody. W tym czasie Tolasz był poza gminą. Zawiadomiony szybko wrócił, ubrał się w swój SA-mański mundur ze swastyką, by w ten sposób godnie uczcić swój triumf – aresztowanie chorobliwie znienawidzonych przez niego Polaków.

Gdy jednak dowiedział się, że się spóźnił, i tym razem aresztowania nie będzie z powodu braku wiarygodnych zarzutów, wpadł w niesamowity szał. Nie bacząc na nikogo, urządził przed gospodą prawdziwie karczemną awanturę. Pamiętam, jak na środku drogi machał jakimiś papierami i straszliwie wyzywał Smelika, który sprawiał wrażenie rozbawionego alkoholem i całą tą sytuacją. Stanowczy i nieprzewrotny Smelik nieugięcie powtarzał: niewinnych Polaków aresztować nie pozwolę, bo nie jestem bestią w ludzkiej skórze.

Ten swego rodzaju komediodramat rozegrał się i zakończył ostatecznie wewnątrz budynku szkoły, dokąd zbiegły się wszystkie służalcze podporządkowane Tolaszowi matofki. Mimo to w tym dniu nikogo w Gródku nie aresztowano. Ale kilka dni później Tolasz i jego mściwi i obłudni sprzymierzeńcy złożyli wniosek o pozbawienie Jana Smelika wszystkich funkcji. A to oznaczało, że musiał z gminy wyjechać.

Bił tak, że połamał giętką trzcinę

Wtedy znów swoją szansę na awans dostrzegł Emil Eisenberg, który przez cały czas starał się zaskarbiać sobie zaufanie nowych panów. Czynił to jak tylko mógł i jak potrafił, nie unikając nawet brudnych czynów. Ofiarą jego wygórowanych ambicji stałem się również i ja. A było to tak:

Pewnego dnia zgromadzono nas, uczniów z kilku różnych klas, w jednej (nie wiem dlaczego). W tej ciasnocie starałem się znaleźć jakieś miejsce w środku klasy. Eisenberg jednak czuwał. Przywołał mnie ze środka i posadził w pierwszej ławce. „To dziwne” – pomyślałem. Nigdy przedtem na takiej nie siedziałem, chociażby dlatego, że nie byłem niskiego wzrostu.

Rozpoczęła się lekcja. Nauczyciel pisał coś na tablicy. W nabitej ciasno klasie było jednak dość gwaro, zwłaszcza na tylnych siedzeniach.

„Spokój!” – krzyknął nauczyciel, wyraźnie zwracając się do mnie, chociaż siedziałem w pierwszej ławce cichutko niczym trusia. I znów odwrócił się do tablicy. Jego krzyk, skierowany do mnie, wywołał jeszcze większą wesołość i ożywienie w klasie – stąd i rechotanie starszej młodzieży usadowionej na ostatnich ławkach stało się jeszcze głośniejsze. Nauczyciel nie reagował. Chwilę odczekał, jakby celowo.

⁴ szkopyrtok (gwara śląska) – człowiek przewrotny, który zmienił narodowość lub wiarę

A potem nagle odwrócił się, doskoczył do pierwszego rzędu, złapał mnie za ucho, podprowadził na stopień do tablicy, wziął trzcinę i systematycznie a mocno lał mnie gdzie popadnie.

„Ja cię nauczę przeszkadzać mi na lekcji” – perorował przy tym teatralnie, wściekle zaperzony. I bił mnie tak długo, aż mu się owo narzędzie wymiaru „sprawiedliwości” połamało.

Klasa oniemiała z wrażenia. Rzeczywiście zapanował spokój. Jedni milczeli ze strachu. Inni może zastanawiali się po cichu, po co ten oprawca tak mnie zlał, kiedy byłem niewinny.

Po powrocie do domu moja mama od razu zauważyła sine i czerwone pręgi na moich nogach i plecach. Nie chciała wierzyć, kto był ich sprawcą. Kiedy się dowiedziała, że połamał na mnie trzcinę, nie wytrzymała. Była przekonana, że zna dokładnie tego „pedagoga”, bo przecież od wielu lat nieraz z nim rozmawiała, kiedy sprzątała w klasach, zamiatała korytarze, czyściła okna w szkole, czy paliła w piecach. Tym razem po rozmowie z nim wróciła moralnie zdruzgotana.

Zapytała, jak mógł mnie tak zbić, że mam sińce na całym ciele. Eisenberg odpowiedział, że musiał dać lekcję pogładową wszystkim w klasie, bo dyscypliny i porządku trzeba w Reichu przestrzegać. Potem bajdurzył coś o potrzebie przetrwania, o zamierzonej karierze, o jakichś jego dobrych chęciach... „W końcu bredził tak, że nic z tego nie rozumiałam” – podsumowała swoją interwencję moja mama.

Ten pokaz silnej złośliwości, a właściwie maltretowania polskiego dziecka przez polskiego nauczyciela, który zapragnął być Niemcem cudzym kosztem, jednak mu nie pomógł. Ci, którym chciał wiernie służyć, przedstawiciele „Herrenvolku”⁵ doszukali się bowiem w jego rodowodzie niearyjskiego pochodzenia. I Emil Eisenberg musiał na zawsze opuścić Gródek.

Won z Domu Macierzy!

Po raz pierwszy zobaczyłem go przed szkołą, stał z niewielką walizeczką w ręku. Miał wygląd dobrze odkarmionego byczka. Nie przypuszczałem nawet, że ten rozglądający się dookoła mężczyzna przybywał ze specjalną misją dokonania szybkiej germanizacji ludzi i środowiska. Był to bowiem – jak się później okazało – reichsdeutsch o nazwisku Heinrich Heinschke, przewidziany na nowego kierownika niemieckiej szkoły, który został skierowany na Śląsk Cieszyński z Sudetów.

Zbliżającego się do Domu Macierzy nieznanego człowieka pozdrowiłem grzecznie – tak, jak mnie zawsze uczono – po polsku, słowami: „dzień dobry”. Wówczas zamiast odpowiedzi ujrzałem brzydkie, gniewne spojrzenie i jakieś dzikie, półprzytomne błyski czające się w jego ogromnych okrągłych oczach. Tak chyba wygląda spojrzenie prawdziwego zbója lub szatana – odpowiedziała mi błyskawicznie bujna dziecięca wyobraźnia.

„Gdzie matka?” – zapytał byczek po niemiecku.

„Sprząta w szkole” – odparłem też po niemiecku. Ale z mamą w tym języku dogadać się już nie mogłem.

⁵ Naród panów.

Nowy schulleiter⁶ Heinrich Heinschke niezwłocznie wykorzystał tę okazję, aby od razu, mocnym uderzeniem wejść na miejscową scenę polityczną. No, bo jakże to? Jakiś brzdąc wita go w polskim języku, sprzątaczką w szkole nie umie po niemiecku, a miejscowi nowonarodzeni hitlerowcy kłócą się we wsi o wpływy i zaszczyty z wypróbowaną starą gwardią wysłużonych donosicieli.

„Czas na porządki!” – zawyrokował Heinschke zaraz na pierwszym spotkaniu z miejscowymi szkopyrtokami, którzy z wdzięczności za tę stanowczą postawę niezwłocznie obrali go Ortsleiterem⁷, a zarazem szefem miejscowej komórki NSDAP, opiekunem hajotu⁸ i czym tam jeszcze.

Fama o nowym, mocnym i wielkim nadczołwieku, który preferował rządzenie przy pomocy pały i strachu, szybko rozchodziła się po okolicy. Spotęgowała ją również pierwsza doniosła decyzja o natychmiastowej eksmisji moich rodziców z Domu Macierzy.

Pamiętam, jakże wówczas szybko zmieniały się nastroje i atmosfera wokół nas. Rozumieliśmy tych, którym to sprawiało wielką przyjemność i satysfakcję. Trudno nam jednak było pojąć postawę tych, którzy z całkowitą obojętnością, a nawet z nieukrywaną niechęcią odnosili się do nas, kiedy prosiliśmy ich o przyjęcie na kwartyr⁹. Wszędzie słyszeliśmy zdecydowane: nie.

Czy ludzie odczuwali tylko strach przed brutalną władzą, czy też może (przynajmniej niektórzy) już się z nią identyfikowali? Nikt też nie chciał wynająć nam furmanki z koniem – nawet ci, którzy kiedyś np. dowozili węgiel czy drzewo dla Macierzy – do przewiezienia naszego skromnego dobytku. Przewieźliśmy go sami na ręcznym wózku, w malowniczej scenerii mrozem oszronionych drzew, na Puściznę, bo w końcu jednak zlitował się nad nami kolejarz Paweł Sikora, który wynajął nam pomieszczenie, za którego cienką ścianą znajdowała się obora, gdzie trzymał krowy. Kiedy jednak awansował i został naczelnikiem stacji kolejowej (i czapkę przybrał czerwonym otokiem) wymówił nam to locum. I znowu nikt nie chciał nas Polaków bez volkslisty przyjąć na kwaterę.

Szczeście w nieszczęściu: umarła matka Pawła Czudka, który mieszkał w Dąbkowej koło Karwiny, gdzie jako górnik pracował w kopalni węgla kamiennego. Zgodził się on wynająć nam tę jedną z najstarszych drewnianych chałup Na Kępcie, którą zajmowała jego matka i gdzie żaby przez maleńkie okno mówiły „kuku”. Gnijąca rudera jakoś przetrwała do końca wojny, dzięki mojemu ojcu, który podpierał jej dach i ściany coraz to mocniejszymi palikami.

Ja zaś stałem się – jak mi to ktoś ostatnio przypomniał – najbardziej i najczęściej bitym dzieckiem w gminie.

Tu jest Reich

Starszy ode mnie kuzyn Jan Szturc praktykował, jako sprzedawca, w sklepie z artykułami spożywczymi u Pawła Samca, zwanego „Kędziorą”. Kupowaliśmy tam

⁶ Dyrektor szkoły.

⁷ Naczelnik miejscowości.

⁸ Hajot – Hitlerjugend (Młodzież Hitlera – niemiecka organizacja młodzieżowa, przybudówka NSDAP).

⁹ kwartyr (gwara śląska) – mieszkanie

wszystko to, co można było dostać na kartki oznaczone literą „P”. Kiedyś zaszedłem tam, by kupić chleb. A kuzynek od razu do mnie podniesionym głosem: „Mów po niemiecku!” W tym momencie właściciel sklepu dyskretnie i przezornie ulotnił się na zaplecze do magazynu. Gdy zostaliśmy sami, mój kuzyn pokazał, co potrafi.

„Tu jest Reich! – Rzesza niemiecka – krzyczał – i dla innej mowy nie ma tu miejsca. Jak nie będziesz mówił po niemiecku, to się z tobą rozprawię” – groził mi. „A teraz nie sprzedam ci chleba...” – zaperzał się coraz bardziej po niemiecku.

„Nale dyć nie fulej i nie błoznuj, a dej mi tyn chlyb, bo mi się śpiycho”¹⁰ – zareagowałem gwarą też nieco podniesionym głosem. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że z tej „rodzinnej pogawędki” mogą być jakieś konsekwencje.

Na drugi dzień w szkole, zaraz na pierwszej lekcji, wpadł do klasy kierownik Heinschke. W obecności zaskoczonej nauczycielki i wszystkich uczniów dał istny popis walenia mnie po twarzy. Dopiero jak się zasapał, to przerwał, hucząc na całą klasę, że ot ta cherlawa polska świnia (niby ja) ma czelność mówić po polsku i do tego w miejscu publicznym. A jak się jej życzliwie zwraca uwagę, to jeszcze zachowuje się arogancko i butnie wobec sprzedawcy.

No cóż – za ten donos na mnie kuzyn zarobił sobie na wyróżnienie, bo został jakimś funkcyjnym w Hitlerjugend.

A ja przy najbliższej okazji znowu podpadłem, ponieważ dla „przykładu na pokaz” zostałem spoliczkowany – tym razem na asfaltowej szosie – za to, że kiedy przechodził koło mnie ten umundurowany na czarno oddziałek miejscowego Hajotu, nie pozdrowiłem go przez podniesienie ręki.

Wreszcie polala się moja krew

Kiedyś w szkole Heinschke wygłosił pogadankę o tym, jak to schweinehunde¹¹ Amerykanie zrzucają z samolotów stonkę, która niszczy ziemniaki. Ci barbarzyńcy chcą głodem zniszczyć niemiecki naród. Na to nie pozwolimy. „Będziemy zwalczać tę stonkę” – stwierdził kategorycznie.

Na przegląd ziemniaczanych pól wyznaczył jedno popołudnie po lekcjach, akurat w taki dzień, kiedy w parafii nawiejskiej odbywała się nauka konfirmacji, na którą z Gródka uczęszczało ponad 30 uczniów i uczennic. Tym razem na zajęcia konfirmacyjne poszedłem tylko ja i Jasio Kluz spod Kępczycy – reszta „zwalczała stonkę”.

Następnego dnia jeszcze przed rozpoczęciem lekcji w szkole przywitał mnie Jasio: „Szykuj się, będziesz bity, bo ja już swoje za wczorajszy dzień dostałem”. Nawet nie zdążył mi pokazać swoich siniaków, kiedy – jak zwykle – z wielkim krzykiem na ustach i patykiem w dłoni wpadł do klasy wściekły Heinschke. Potem słyszałem już tylko świst padających na mnie bolesnych uderzeń. Oprzytomniałem z odrętwienia, gdy pchnięty z dużą mocą przez nauczyciela poleciałem na stojące w pobliżu pianino, o które uderzyłem nogą tak, że polala się krew. Widząc to mój oprawca przestał mnie bić, posadził w pierwszej ławce i jak gdyby nic się nie stało, rozpoczął lekcję śpiewu. A we mnie narastała złość.

¹⁰ No przecież nie pleć głupstw i nie błaznuj, i daj mi ten chleb, bo mi się śpieszy.

¹¹ Świńskie psy.

Nie mogłem usiedzieć spokojnie na miejscu, bo bolało mnie całe ciało. Ale co tu zrobić? Jak się ratować? Uciec? Ale jak i dokąd? Szosą biec nie mogę, bo z poranioną nogą szybko zostanę schwytany. Jak więc zmylić ewentualny pościg?

Przypomniało mi się niedawne zebranie zuchów, na których harcmistrz Alojzy Ciasnocha opowiadał nam m.in. różne przygody z „Dzikiego Zachodu”.

Znienacka wyskoczyłem z ławki i dałem susa na korytarz. Kulejąc wybiegłem ze szkoły, ale nie na asfaltową szosę, lecz w przeciwnym kierunku, szutrówką, właśnie koło domu Ciasnochy, a potem Pilcha do Dziedziny – tam, gdzie mieszkała moja babcia. Jak przewidywałem, tam też skierowała się pogoń za mną, a na jej czele zaciętrzewiony Jano Kluz od Basisty, który zazdrościł Szturcowi lizusowskich sukcesów w „Hajocie” oraz mały Maliczek, pragnący się wykazać i być zawsze zauważalny w tępieniu wszystkiego, co polskie. Obaj wraz z grupą innych dociekliwych dokładnie przeszukiwali wszystkie kąty w mieszkaniu mojej babci, dopytując się natarczywie, gdzie mnie ukryła. Grozili jej, ostrzegali, że jestem groźny, bo całą klasę okryłem hańbą i za to będę ukarany.

Ja w tym czasie zamiast do babci na placu w Dziedzinie znów skręciłem w odwrotnym kierunku nad Olzę i klucząc wśród zarośli, przedzierałem się brzegiem rzeki na Puściznę.

Ledwie dobrnąłem do domu i mama zaczęła bandażować mi krwawiącą nogę, a już do drzwi pukał żandarm, pochodzący z Górnego Śląska Nieszporek, który pełnił służbę na posterunku Nawsie koło Jabłonkowa.

„Zbieraj się” – odezwał się do mnie grubiańsko. „Idziemy do szkoły”. Nie słuchał żadnych wyjaśnień. Miał nakaz dostarczyć mnie tam, a mama musiała zapłacić 5 marek grzywny za to, że „opuściłem dziś lekcje”.

Tak więc znowu pokonywałem kilometry przez całą wieś, tym razem asfaltową szosą, prawie od jednej granicy wsi Harcowa aż po drugą granicę do Komparsowa. Policjant jechał rowerze, a ja niczym pies łańcuchowy biegłem truchtem koło niego. Ból w nodze dokuczał mi coraz bardziej – tak, że utykałem coraz mocniej i zwalniałem tempo biegu, bo byłem cały mokry i spocony od nadmiernego wysiłku. Widząc mnie w takim stanie, żandarm wyraźnie hamował swój rower i pytał, co się właściwie zdarzyło. Opowiedziałem mu dość szczegółowo. Wtedy on odparł tak jakoś w tonie wieloznacznym: „Nie obawiaj się, już cię nikt nie będzie bił”.

Samotny w ławce

„I oto mamy lenia” – przywitał mnie radośnie roześmiany Heinschke, ucieszony tym, że żandarm triumfalnie wprowadził mnie do klasy i posadził samego na ostatniej ławce. Aby nie próbował uciec, na przerwie pilnowało mnie paru uczniów nadgorliwców. A gdy skończyły się lekcje w mojej klasie, belfer zabrał mnie do innej, w której naukę prowadził jeszcze w godzinach popołudniowych. Podeszło do mnie kilku starszych uczniów i zdenerwowanymi głosami prosili mnie po cichu, abym nie uciekał, bo oni mają mnie pilnować. „Nie będę uciekał, bo nie mam już siły” – uspokoiliem ich.

W pewnym momencie w czasie lekcji do klasy wbiegła nauczycielka i coś powiedziała na ucho mojemu prześladowcy. Ten wyskoczył na korytarz, skąd po chwili rozległ się straszliwy ryk byka, który stopniowo zamieniał się jakby w ujadanie złego psa. Wreszcie strudzony Heinschke wrócił do klasy, rzucił na moją ławkę jakies

zawiniątko i powiedział: „To ci przyniosła mama, abyś nie umarł z głodu, bo nie jadłeś śniadania”.

Potem dowiedziałem się, że kiedy tak dziko szalał wokół mojej mamy, ta niczego nie rozumiejąc z jego krzyku, odwróciła się do niego tyłem i spokojnie oglądała obrazki wiszące na ścianach korytarza, czym doprowadziła go do jeszcze większego szału i wściekłości. Dopiero jedna z nauczycielek przywróciła go do równowagi psychicznej.

Po rozwinięciu otrzymanej paczki z jedzeniem wyjąłem chleb z jakimś pomazaniem i zacząłem go normalnie jeść na lekcji, bo przecież te zajęcia, które prowadził Heinschke nie były przeznaczone dla mnie. Jadłem więc z apetytem, ale i z zainteresowaniem słuchałem jego opowieści o tym, że Ziemia kręci się koło Słońca, w którego wnętrzu panuje ogromna temperatura, że odległość między planetami mierzy się latami świetlnymi, że... i tu padały wciąż nowe dla mnie wiadomości.

Raptem Heinschke przerwał swój wykład i kazał mi powtórzyć to, co mówił. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu i zdziwieniu powtórzyłem. Uśmiechnął się jakoś dziwnie, kazał mi zabrać moje manatki i pójść do domu.

Wracając, kulałem z ogromnego bólu. Myślałem nawet, że lepiej było jeszcze posiedzieć w szkole. I odpoczywać. Poraniona i nadwyrężona noga trudno się potem goiła, a domowy sposób leczenia spowodował, że do dziś po ranach pozostały mi wyraźne blizny.

Moja głośna przygoda wzbogacała życie w nowe doświadczenia. Już w następnym dniu chłopak, którego uważałem za swojego kolegę, Jan Hawliczek, powiedział mi, że nie będzie nadal siedział ze mną w jednej ławce. „Dlaczego?” – zdziwiłem się. Okazało się, że dlatego, bo jego rodzice mają volkslistę, a moi nie. Mnie i tak niedługo wyrzucą ze szkoły, a on po ukończeniu podstawówki chce dalej uczyć się. Przebywanie ze mną mogłoby mu w tym zaszkodzić.

I tak na jego prośbę nauczyciel rozdzielił nas – ja zostałem sam i samotny w naszej ławce aż do „ukończenia” nauki w tej szkole.

Obniżone stopnie i łzy ojca

Kiedy Heinschke został powołany do wojska, na jego miejsce zjawił się nowy kierownik szkoły Fritz Marzol. Ten nie musiał się obawiać o służbę wojskową, bo był kulawy. Zaraz też zapowiedział, że on bić nie będzie. Ale bił. Linijką po wyprostowanych dłoniach – czasami bez powodu, jakby dla fasonu lub przyjemności.

Zastanowił mnie jednak inny sposób uściśnięcia mojej dłoni, kiedy opuszczałem przed terminem okupacyjną szkołę. Wręczając mi świadectwo ukończenia nauki dość długo trzymał moją dłoń w uścisku, bo wygłaszał głośne i dosadne przemówienie: „Masz obniżone stopnie nie tylko z zachowania, ale ze wszystkich przedmiotów, bo i tak dalej do szkoły chodzić już nie będziesz. Szkoda mi ciebie, bo jesteś zdolny. Gdyby rodzice mieli volkslistę, mógłbyś się dalej uczyć i stopnie na świadectwie miałbyś normalne, lepsze...”.

Wśród zebranych na sali panowała martwa cisza. Po mnie jednak mowa ta spłynęła, jak woda po kaczce. Kiedy jednak potem opowiadałem o tym w domu i mimo woli spojrzałem na ojca, to wtedy po raz pierwszy zobaczyłem u niego oczy pełne łez. Zapewne było mu żal, że jego jedyny syn skazany został na poniewierkę.

Cóż to jednak znaczyło wobec jego bogatych doświadczeń życiowych. Przed wojną siedem lat bez pracy, bo nie chodziłem do czeskiej szkoły. Prześladowany za działalność społeczną w Macierzy. Karany mandatami na skutek kłamliwych donosów, składanych na niego przez różnych zeszmaków ludzi. Procesy sądowe z czeskim kierownikiem szkoły w obronie prawdy i godności narodowej Polaków – to tylko niektóre doznane krzywdy, które skłaniały go do zaciągnięcia się w szeregi Legionu Zaolziańskiego¹², który tworzył się w lesie hermanickim koło Ustronia.

Jego pełna optymizmu osobowość ujawniła się również podczas okupacji niemieckiej, kiedy po czerwcowej agresji Niemców na ZSRR otrzymał owo słynne wezwanie na grudzień 1941 roku. Miał się zjawić w Jabłonkowie przed amtskomisarzem w celu „odebrania niemieckiego obywatelstwa”.

W poczekalni tego urzędu czekał dość długo. Obradująca za drzwiami komisja maglowała bowiem poprzedzającego go na ułożonej alfabetycznie liście Karola Raszka, który nad Olzą prowadził gospodę. Z pokoju przyjęć wyszedł on mocno zmieniony na twarzy. Komisja dała mu jednak czas i szansę, aby ochłonął i pomyślał w poczekalni nad swoim dalszym losem. Pomyślał i volkslistę przyjął, a wkrótce potem został wezwany do służby w Wehrmachcie.

Tylko naiwni, cyniczni oszuści lub głupi z natury opowiadają, że Niemcy nie mieli dokładnego rozeznania i charakterystyki poszczególnych osób. Zawsze wcześniej znali tych, z którymi mieli do czynienia.

Dlatego też i rozmowa z moim ojcem była krótka: „Słuchajcie, Rusz, podobno bardzo wam się podoba mundur?” – zapytali, wiedząc dokładnie i o tym, jak niegdyś w swoich naiwnych marzeniach wyobrażał sobie siebie chociażby w mundurze zawodowego kolejarza. Wiedzieli też, że po powrocie Zaolzia do Polski chciał być policjantem.

„Tak, to prawda” – odparł ojciec. „Bardzo podobają mi się ludzie w mundurach”.

„No, to podpiszcie tutaj” – podsunęli mu deklarację, że dobrowolnie zgadza się na werbunek do wojska.

„Gdybym wiedział, że zostanę generałem, to chętnie bym podpisał, ale zwykłym wojakiem już nie chciałoby mi się być” – odpowiedział ojciec jakby w nieco kpiącym tonie.

Komisja zrozumiała i o nic więcej go nie pytała. Niezwłocznie natomiast wydała dokument, że Jan Rusz nie przyjmuje niemieckiej volkslisty, bo poczuwa się do polskości. Tak się przy tym śpieszyła, że nawet w numerze domu opuściła jedynekę – zamiast nr 134 napisała 34.

Zostałem pastuchem

Miałem trzynaście lat, gdy otrzymałem wezwanie do arbeitsamtu (urzędu pracy), który mieścił się w Jabłonkowie.

„Pojedziesz do Reichu, na roboty” – przywitał mnie swoim wysokim, bardzo cienkim, nie cierpiącym sprzeciwu głosem sam szef urzędu o nazwisku Kinol, który odbierał ode mnie wezwanie.

¹² Formacja utworzona w 1938 r. do walki o Śląsk Cieszyński.

„Jak trzeba...” – odpowiedziałem żadnym młodzieńcym, podróżniczym przygód, czym wywołałem ogromne zaskoczenie mojego rozmówcy. Kinola zatkało, bo nie spodziewał się tak bezdyskusyjnej zgody.

Z opresji wybawiła go urzędniczka, która wyszła z drugiego pokoju i poprosiła go o rozmowę. Poznałem ją. To była Helena Szlauerówna, przedwojenna nauczycielka w polskiej ochronce dla dzieci. Mieszkała ona wtedy na piętrze tego samego Domu Macierzy, w którym moi rodzice zajmowali parter.

Po chwili Kinol wrócił, mówiąc: „Syneczku, pojedziesz teraz do domu. A my wezwiemy cię jeszcze raz”.

Następnym razem miałem już jednak gotowy konkretny przydział na pastucha do gospodarstwa folksdojczki Anny Czudkowej, której nieżyjący mąż był dróżnikiem, kosił trawę i pielęgnował przydrożne rowy wokół asfaltowej „cesarskiej drogi”. Jej syn natomiast był przed wojną pilotem w polskim lotnictwie, a o jego przygodach i wyczynach pisała przed pół wiekiem „Skrzydłata Polska”.

Mimo że przypisany byłem do jej zagrody, to również musiałem obsługiwać gospodarstwo innych folksdojczów, jej krewnych Bocków, którzy mieszkali w drugiej połowie tego samego budynku.

Moim zadaniem było obrządzanie bydła i owiec – to znaczy praca bez zapłaty, a jedynie za wikt. Codzienna, monotonna krzątania powodowała, że należało się uczyć żyć bez złudnych nadziei. Każdego dnia, oprócz pasienia bydła i owiec, musiałem rano i wieczorem porządnie obmywać wodą krowie zady, bo bydło musiało być czyste, zarówno na świeżej ściółce w oborze, jak i na pastwisku – nie to, co jeszcze dzisiaj można oglądać czasem w centralnej Polsce, gdzie po łąkach łążą brudne, niedomyte krowy, nierzadko zafajdane zaschniętym łajnem.

Kiedyś jedna z krów niechcący nadepnęła racicą na moją nogę tak niefortunnie, że pod paznokciem wielkiego palca urosła mi żywa narośl. Gdy już prawie nie mogłem nałożyć na tę nogę buta, poszedłem do Bystrzycy do życzliwego lekarza Mazurka, który od razu dał mi skierowanie do szpitala. Pojechałem więc do Trzyńca, gdzie dość nieporadnie rozglądałem się wokoło przed szpitalem na Podlesiu. Wyszedł z niego akurat ponury pan, więc zapytałem, gdzie mogę zastać chirurga Sommera. Pokazał mi skierowanie. Nadęty pan się rozjaśnił, bo to on właśnie nim był. Już wychodził z pracy, ale kiedy zobaczył, że czeka go rzeźnicza robota, natychmiast zawrócił, poweselał i zaczął ze mnie dowcipkować: „Żywe mięso, tak, to ja ci dam kartkę na mięso, a to twoje mięso sobie z nogi powycinam”. Później dowiedziałem się, że zawsze bywał zły, gdy nie miał okazji kroić człowieka.

Tak więc po prawie godzinnej operacji zostałem obudzony z narkozy i dowiedziałem się, że będę musiał zostać parę dni w szpitalu. Nawet się ucieszyłem.

Za chwilę jednak wpadła inna pielęgniarka i kazała mi się natychmiast ubierać. Nie zostanę w szpitalu, bo nie mam volkslisty. Zmartwiona tym pierwsza pielęgniarka usiłowała coś tam oponować, że przecież jeszcze dziecko, że bardzo cierpi, że nie da rady dojść do domu, że rana będzie się źle goić... Druga pielęgniarka ucięła ten wywód tym, że co kilka dni będę przychodził do szpitala, a ona będzie zmieniać opatrunki i lapiować ranę.

I tak znalazłem się znów na drodze ze szpitala do stacji kolejowej, którą pokonałem powoli, mocno utykając i ledwie włączając nogami. Szedłem prawie godzinę, podczas gdy idąc w odwrotnym kierunku na operację, przeskoczyłem ten

odcinek za ledwie w dziesięć minut. Rana nie goiła się dobrze, a ślad po niej został do dziś.

Moja choroba nie podobała się mojej bauerce. A jeszcze bardziej naraziłem się jej rodzinie, gdy na wiosnę znów zostałem wezwany do arbeidsamtu. Lamentom nie było końca: „Przez całą zimę karmiliśmy pastucha, a teraz, gdy zaczynają się wiosenne roboty w polu, to chcą nam go zabrać. Niestychane!”.

W arbeidsamcie nie pracowała już Helena Szlauerówna. Została aresztowana za pomoc okazywaną Polakom i wkrótce straciła życie.

Wojna wciąż musi kosztować

Miałem wciąż jeszcze trzynaście lat i z nakazu arbeidsamtu zostałem tym razem skierowany do przybyłego z głębi Rzeszy niemieckiego architekta i reichsdeutscha Alberta Resta, który stworzył sobie na Śląsku Cieszyńskim firmę budowlaną o dość specyficznym przeznaczeniu. Sprytny architekt za pomocą różnych szwindli i machlojek szybko dorabiał się majątku. Ponieważ prowadził różne roboty wysokościowe, naziemne i podziemne, nawiązał współpracę z organizacją Todt¹³, zwłaszcza przy budowie różnych wojskowych obiektów obronnych, co umożliwiło mu prowadzenie kombinacji dodatkowo pomnażających jego dochody. Firma zatrudniała przeważnie Polaków, którzy nie podpisali volkslisty. Dlatego i ja do niej trafiłem jako bauhilfsarbeiter, czyli budowlany robotnik pomocniczy.

Firma A. Rest miała opinię „dziadowskiej firmy”, ponieważ prowadziła najgorsze, najbardziej brudne roboty, których wartość trudno było faktycznie oszacować. Dlatego wyceniano je na oko. To także stało się okazją do dodatkowych oszustw „dziadów Polaków”. W ten sposób architekt dbał o swoje prywatne interesy i dorabiał się majątku, jak i gdzie tylko mógł. Jednym z przykładów była luksusowa willa, którą wybudowaliśmy mu w Jabłonkowie za pół darmo, bo kosztami budowy obciążał inne prowadzone przez firmę roboty. Mój udział w tym przedsięwzięciu polegał m.in. na kopaniu, a potem zasypywaniu rowów, w których umieszczaliśmy instalacje doprowadzające wodę do budynku.

Duszą tej firmy był pochodzący z Włoch człowiek, który kazał siebie tytułować „panem inżynierem Gracyjanem”, chociaż inżynierem nie był. Okazał się jednak bardzo przydatny, bo miał talent do oszustw. Potrafił tak umiejętnie kalkulować koszty wznoszenia np. betonowych bunkrów przeciwlotniczych – jakie stawialiśmy na stacjach kolejowych w Nawsiu, Trzyńcu, Cieszynie, Karwinie czy innych miejscowościach – że o ile wartość kosztorysowa takiego schronu na początku budowy wynosiła przeciętnie 12 tysięcy marek, to po oddaniu go do użytku firma Albert Rest inkasowała za niego od 20 tysięcy do 24 tysięcy marek.

„Wojna musi kosztować” – to było ulubione powiedzenie „pana inżyniera Gracyjana”.

Do każdej inwestycji doliczano bowiem wartość zużytych nowych desek, gwoździ i różnych innych materiałów, podczas gdy były one wykorzystywane wielokrotnie.

W praktyce wyglądało to tak: najpierw musieliśmy ręcznie przy pomocy kilofów i łopat wykopać dużą dziurę w ziemi, bo przecież nie było maszyn i innych urządzeń

¹³ Niemiecka zmilitaryzowana organizacja budowlana, powołana do budowy obiektów wojskowych, dróg itp.; utworzona w 1938 r. pod kierownictwem Fritza Todta.

ułatwiających pracę. Ziemię wywoziliśmy na taczkach. Potem zbijaliśmy drewniane szalunki, do których laliśmy piaskowo-cementową zaprawę betonową, sporządzaną ręcznie łopatami i dowożoną na taczkach. Roboty kosmetyczne wewnątrz pomieszczeń prowadzili fachowcy. Podczas rozbierania szalunków bardzo absorbowało nas wyciąganie i prostowanie starych gwoździ, aby je można było użyć przy następnych obiektach, ale w dokumentach pisano, że używano nowych gwoździ i desek. Wreszcie smrodliwe smołowanie, zabezpieczające schron przed deszczem i wilgocią. A na koniec przykrycie tego wszystkiego ziemią znów narzucaną ręcznie łopata.

Trudno byłoby również policzyć możliwości szachrajstw i fałszerstw przy trudnych do oszacowania i wyceny najbrudniejszych robotach, jak np. wszelkiego rodzaju czyszczenie śmierdzących kanałów i przepustów. A remontowaliśmy także mosty, smołowaliśmy drogi, naprawialiśmy tory kolejowe, stawialiśmy drewniane baraki mieszkalne i biurowe itp.

Pewnego razu „pan inżynier Gracyjan” kazał mi na drugi dzień zameldować się u jego żony w willi, abym narąbał mu drzewa na opał. „Będziesz pracował osiem godzin, a ja każę Wronce [to jego podmajster], aby ci zapisał dziesięć godzin pracy przy bunkrze”. Pojechałem. Rąbałem cały dzień. Komórkę w piwnicy zapełniłem prawie do sufitu, a na koniec zamiast podziękowania, żona „pana inżyniera” powiedziała zniesmaczona tonem nagany i niezadowolonia: „Ugotowałam ci supę w proszku, a ty tak mało narąbałeś tego drzewa”.

„Pracowałem uczciwie przez cały dzień” – broniłem się.

Wronka jednak nie zapisał mi dziesięciu godzin pracy, ale też i ja nie pojechałem więcej rąbać drzewa do luksusowej willi, którą wcześniej też w bardzo krótkim czasie wybudowała w Łyżbicach nasza ekipa z firmy.

Prawie zaraz po wojnie ta porządnie zbudowana willa uległa celowemu zburzeniu, bo tak Czesi pojmwali walkę z Niemcami. Obecnie na jej miejscu znajdują się prywatne garaże samochodowe mieszkańców Trzyńca.

Willi architekta Alberta Resta też została po wojnie całkowicie rozwalona i rozebrana.

Oszukujący błazen i prostolinijny smutas

Podmajster Wronka pochodził z Wędryni. I on też kilka razy w swoim życiu zmieniał narodowość. Mimo że był człowiekiem w sile wieku i podpisał volkslistę, to do wojska nie poszedł. Zawsze go wyreklamowano. Raz dlatego, że był zezowaty, innym razem ponieważ ponoć był głuchy. W rzeczywistości słyszał nawet to, czego nie powinien, inaczej nie mógłby kapować i donosić. Miał też inną cenną „zaletę” życiową: wiedział, gdzie, kiedy i z kim powinien wódkę pić, aby być potrzebnym do pilnowania Polaków.

Wronka obsesyjnie dbał o to, aby wszystkim pracującym Polakom potrącano z zarobków 15% zarobków na tzw. Wehr-Steuer i aby nie otrzymywali pasków z wyliczeniem przepracowanych godzin i zarobionych pieniędzy, a jedynie na kopertach notowano często dowolne kwoty, które nam wypłacano na rękę. Na kopertach zaznaczano przeważnie ołówkiem różnego rodzaju potrącenia, zwłaszcza na „wyfasowane buty robocze”, których nie otrzymywaliśmy. Zagrabione nam w ten sposób pieniądze trafiały dodatkowo do kieszeni hochsztaplerów w kierownictwie firmy.

Był też jeszcze inny nadzorca robót, który nazywał się (nie pamiętam już dokładnie) Futsche albo Gaitz. Należał on do grupy Niemców sprowadzonych z Besarabii, którzy mieszkali w Nawsiu w domach i gospodarstwach po wysiedlonych Polakach. Jego zadaniem, jako majstra było nadzorowanie prowadzonych robót, ale on często pracował fizycznie razem z nami w nadziei, że szybciej uporamy się z zadaniem. Był on ludzki i szczery. Kiedyś powiedział mi wprost, że wie, iż pracuję nieraz po 10, a nawet 12 godzin na dobę, ale na dniówkę nie może mi zapisać więcej niż 8 lub 9 godzin pracy, bo jestem jeszcze nieletni. Dziwił się, że moje wynagrodzenie wynosi tylko 30 fenigów na godzinę. Obiecał, że się tym bliżej zainteresuje.

Dopiero jednak w sierpniu 1944 roku z okazji moich urodzin otrzymałem podwyżkę do 40 fenigów za godzinę pracy. Wtedy mogłem też obejrzeć po raz pierwszy i chyba jedyny pasek wypłat, na którym zapisano, że w miesiącu przepracowałem 246 godzin. Licząc po 40 fenigów za godzinę zarobiłem 98 marek i 40 fenigów. Od tej sumy obcięto mi 15-procentowy podatek pobierany od Polaków, tj. 14 marek i 76 fenigów. Dalej ściągnięto mi na kasę chorych (Krankenkasse) 10 marek i 38 fenigów, odliczono 30 marek otrzymanej w połowie miesiąca zaliczki. I już bez adnotacji na pasku płacowym (uwidocznione to zostało jedynie na kopercie) ściągnięto mi kolejny haracz – 20 marek na buty robocze, których nawet nigdy nie oglądałem.

I tak w tym jednym miesiącu „po awansie” zarobiłem prawie 100 marek, a przy wypłacie otrzymałem jedynie 33 marki i 26 fenigów. A był to rekordowy miesiąc moich zarobków przez cały okres pracy w firmie Alberta Resta.

Nie każde cierpienie uszlachetnia

Jako trzynastolatek byłem najmłodszy zarówno wiekiem, jak i stażem pracy. Pobierałem kartkę spożywczą przeznaczoną dla nieletnich, która to kartka stała się przedmiotem naszej rozrywki.

Zaczęło się od tego, że kiedyś wstąpiłem do cukierni na rynku w Jabłonkowie, aby kupić lody, które sprzedawane były, podobnie jak i inne słodczyce, na kartki. Właścicielka cukierni po spojrzeniu na moją kartkę z literą „P” rzuciła ją na ziemię i zawarczała ze złości: „Dla ciebie lodów nie ma”. Pierwszy raz było mi nawet trochę przykro, ale nie histeryzowałem. Opowiedziałem o tym innym w brygadzie, którzy potem nawet radzili, co by tu zrobić, aby babka z Konditorei¹⁴ nie szargała naszej godności. Z ich inspiracji zachodziłem więc częściej do tej cukierni. Gadałem z właścicielką i „po dobroci” i „po złości”, ale była nieugięta. Niczego nie chciała sprzedać na tę kartkę. Wtedy chodzili tam również inni, jedynie po to, aby ją denerwować. Naiwne? Dziś może tak. Ale my wówczas mieliśmy tę młodzieńczą (wątpliwą co prawda) satysfakcję, że oto znów udało nam się tę starą jędzę wyprowadzić z równowagi.

Wiele razy pracowałem z ludźmi starymi. Ponad sześćdziesiąt lat miał już dziadek Ligocki z Koniakowa, Matuszny z Kamesznicy charakteryzował się ogromną przepukliną, Haratyk z Hyrczawy straszyl mocno zezowatym spojrzeniem, wesołość wzbudzał będący często na rauszu Gazurek z Istebnej – oni należeli do najstarszych wiekiem. W ciągu tygodnia sypiali przeważnie w drewnianych barakach, które budowaliśmy, a w sobotę po robocie wracali piechotą po kilkanaście, a nawet

¹⁴ Cukiernia.

kilkadziesiąt kilometrów, aby dotrzeć do swoich chałup w górach około północy. I znowu następnej nocy wyruszyli tą samą drogą na piechotę, aby zdążyć na miejsce pracy przed godziną szóstą czy siódmą rano. Często wspominali dobrodziejstwa wynikające z przedłużenia kolei żelaznej z Goleszowa do stacji Wisła Głębiec i żalowali, że nie do Istebnej. Chwalili przedwojenną robotę przy asfaltowaniu drogi do Czarnej, gdzie postawiono zameczek dla prezydenta Mościckiego. Byli przyzwyczajeni do harówki i niewygody.

Nocowanie po różnych szopach i budach było przerażające, patrząc z dzisiejszego punktu widzenia i współczesnej kultury dnia powszedniego. Ale w czasie okupacji niemieckiej wydawało się to dość normalne i naturalne. Bo np. jeżeli chodziliśmy prawie 20 kilometrów piechotą w jedną stronę do Sałajki, gdzie potem przez cały dzień aż do zmroku czyściliśmy kanały, czy chodniki przeciwpożarowe w lesie, to przecież z prostej kalkulacji wynikało, że lepiej zanocować gdzieś na tym odludziu, chociażby w jakimś karmniku przeznaczonym dla zwierząt leśnych, niż tłuc się z powrotem owe 20 kilometrów, aby na drugi dzień znowu piechotą dojść do tego samego miejsca pracy. Na takich bocznych trasach żadnej komunikacji wtedy przecież nie było.

A jedzenie? No cóż, gorzką czarną kawę zawsze można było ugotować na rozpalonym ognisku. A chleb? Trzeba go było po prostu wziąć więcej z domu lub na kartki zakupić gdzieś po drodze.

Nie miałem zwyczaju rozczulać się nad sobą, czy biadolić w życiu na swój los, który bywał różny. Ale to muszę powiedzieć: zdarzyło mi się to po powrocie z jednej terenowej, kilkudniowej pracy. Wróciłem do domu zmęczony, niedospany, brudny, cuchnący, zły.

Mama postawiła na stole szwołki (to rodzaj zacierki z mąki z mlekiem), ale tym razem z wodą i bez tłuszczu, bo mleka nie było. „Nie mam dzisiaj nic więcej” – usprawiedliwiała się mama.

Niedługo, już po wojnie, rozboleły mnie zęby. Poszedłem do dentysty w Czeskim Cieszynie, gdzie przyjmował stomatolog przyjezdny z Frydku-Mistku.

„Człowieku, gdzie ty był?” – zapytał mnie starszy pan. „Coś ty robił? Takiego spustoszenia w ustach jeszcze nie widziałem. Przecież ruszają ci się wszystkie zęby. Czy wróciłeś z obozu koncentracyjnego?”

„Nie, panie doktorze. To chyba z niedożywienia” – powiedziałem.

On jednak nie rozumiał, bo w zasobnym w żywność Protektoracie Czech i Moraw mieszkańcy nie mieli nawet pojęcia o tym, co to bywały głodowe dni i marne jedzenie.

* * *

Kilkanaście lat temu spotkałem w piaseczyńskim lesie Na Brzuszkach bardzo starego człowieka, który na skraju tego lasu sklecił sobie z desek i dykty domek, w którym mieszkał. Nasze twarze wydawały nam się znajome, więc porozmawialiśmy.

Nie myliłem się. Był to Włoch pochodzący z Tyrolu, z rodziny Lorenzinich-Fontonarich, którzy sprowadzili się jeszcze przed pierwszą wojną światową do Gródka, gdzie znaleźli zatrudnienie w trzech miejscowych kamieniołomach. Ulokowali się na brzegu rzeki Olzy Na Skale. Po pierwszej wojnie, gdy mieszkali w polskiej wsi, przyłączyli się do Polaków. Z czasem jednak, ponieważ chcieli uprawiać wolny zawód kamieniarzy, uznali, że lepiej będzie dla nich, gdy zadeklarują, iż są Czechami. W

czasie drugiej wojny światowej synowie ich służyli w Wehrmachcie, a nawet w doborowym oddziale SS.

Właśnie jeden z nich, starszy o kilka lat ode mnie, kiedy pewnego okupacyjnego dnia przyjechał w czarnym mundurze na urlop, gdy przechodził drogą, przy której przycinałem gałązki drzew i krzewów, aby lepiej nakarmić naszą kozę, zatrzymał się, wyjął z kabury krótką broń i zaczął strzelać. Ludzie mówili potem, że do mnie. Ale stary Lorenzini po upływie tylu lat powiedział mi, że syn chciał się tylko popisać przede mną, a może mnie jedynie trochę nastraszyć. Ja jednak zapamiętałem na zawsze porażający świst kul i szelest rozdygotanych liści w koronie drzewa, pod którym pasła się koza.

„A teraz syn mój jest profesorem Wyższej Szkoły Rolniczej w Pradze” – pochwalił się na zakończenie naszego spotkania Włoch.

Kto ich wydał?

Podczas remontowania nasypu przy tunelu kolejowym w Mostach na Przełęczy Jabłonkowskiej w naszej brygadzie pojawiło się dwóch młodych miejscowych górali: Janek Kluz zafascynowany wszelkiego rodzaju pirotechniką i militariami oraz Józef Wiszczor, młodszy brat tego Wiszczura, który 26 sierpnia 1939 roku przyprowadził lasami przez góry hitlerowską bojówkę do Mostów, bo myślał, że to właśnie w tym dniu rozpocznie się druga wojna światowa. Pracownicy w firmie szybko dowiedzieli się o tym, z kim mają do czynienia i po obserwacji objawiającego się w pracy Wiszczura zrozumieli, że nie znalazł się on wśród nas, aby pracować, ale by spełniać jakieś inne wężycielskie i niedobre dla nas zadania.

Janka Kluz zapamiętałem jako wielkiego ryzykanta. Podczas czyszczenia zbiornika wody pitnej w Kostkowie znaleźliśmy granat ręczny, który nie eksplodował podczas wrzucania go do wody przez niemieckich żołnierzy, łowiących w ten sposób ryby. Janek szybko dorwał się do niego, aby go rozbroić lub zdetonować. Prawie wszyscy pracownicy mu to odradzali, a kiedy argumenty nie przekonały uparciucha, oddaliśmy się od niego jak najdalej. Majstrował przy tym granacie dość długo, ale bez rezultatu. Wreszcie zniechęcony rozpałił ognisko, do którego go wrzucił. Wybuchło, ale jakoś słabo. „Widocznie proch był zawilgocony” – odpowiedział z rezygnacją zawiedziony Janek, który podobno po wojnie zginął przy podobnych manipulacjach z niewypałami.

Był jeszcze Zbigniew Łabaziewicz. Mówił o sobie, że jest studentem ze Lwowa, ale jego zachowanie bywało zastanawiające. Mieszkał w drewnianym baraku, gdzie przechowywaliśmy nasze narzędzia. Unikał ludzi. Nie przyjmował zaproszeń do odwiedzin. W robocie raczej się objął. Zimą nawet przy kilkunastostopniowym mrozie spał w tej dziurawej budzie, nakryty pozbieranymi gdzieś łachmanami. Pewnego dnia, na kilka tygodni przed zakończeniem wojny, zniknął bez pożegnania.

Niektórzy potem podejrzewali, że mógł mieć coś wspólnego z wpadką ruchu oporu w Istebnej i Jaworzynie¹⁵. Wśród kilkunastu zamordowanych wtedy Polaków był również jeden z pracowników firmy Resta – Wawrzacz z Istebnej, który miewał

¹⁵ Niemcy 10 IV 1945 r. aresztowali 32 osoby pod zarzutem przynależności do Armii Krajowej, 12 z nich zostało zamordowanych.

czasami długi język, a im bliżej końca wojny, tym więcej i pewniej opowiadał nam o konspiracji i o przygotowaniach do przejścia władzy po wyzwoleniu.

Miał do nas zaufanie i nie zwrócił nawet uwagi na to, że na krótko pojawił się wśród nas robotników człowiek o nazwisku Zeman. Zapewne inwigilacja różnych środowisk była pod koniec wojny bardziej wielostronna. Mordu kilkunastu górali z Istebnej i Jaworzynki (podobno przez zastrzelenie, a nie powieszenie) dokonano na zlecenie gestapo w więzieniu w Jabłonkowie, bardzo szybko po ich aresztowaniu, mniej więcej w połowie kwietnia 1945 roku.

A potem jeszcze zlikwidowana została sekretarka Alberta Resta oraz jeden z majstrów kolejarzy na węźle w Nawsiu.

* * *

Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej nie zrobiło na mnie specjalnego wrażenia. Jeszcze bowiem w ostatni dzień kwietnia 1945 roku ładowaliśmy na wagony szyny z rozbieranych torów kolejowych (przeciętnie po 28–30 sztuk szyn dziennie) zanim wyleciały w powietrze mosty kolejowe i drogowe. A potem, bodajże na drugi dzień, sąsiadka przyniosła wiadomość, że w Nawsiu masarz Pyszko zarznął świniaka i sprzedaje każdemu bez kartek po pół kilograma boczku. Poleciałem więc po tę zdobycz.

Po drodze przy zniszczonym moście spotkałem kilkunastoosobową grupkę dość starych żołnierzy radzieckich, którzy usiłowali przy pomocy małych koników przetrząść przez zawalony most dwie górskie armatki polowe. Przy nich stał kapitan z piersią pełną medali i orderów, mocno cuchnął potem i trochę alkoholem, a gromadzącej się publiczności powtarzał jedynie dwa zdania: „Kuda Germańcy” i „Brno swobodne”.

A co nas obchodziło Brno, jak wszyscy gromadzący się czekali z utęsknieniem na przybycie polskiego wojska. To jednak nie przyszło. Wołało wyzwać Mělník koło Pragi.

W zamian za to po kilku dniach na asfaltowej drodze pojawiły się trzy oddziały czechosłowackich żołnierzy i żandarmów, którzy z piosenką na ustach „At’ žije Morawa aj Praha” przemaszerowali ze Słowacji w kierunku Cieszyna. Za nimi zaraz przyszli czescy „specjaliści”, których pierwsze rozporządzenie brzmiało: natychmiast zdjąć wszystkie polskie flagi. Dla Polaków rozpoczęła się kolejna gehenna.

Gospodzki¹⁶, awanturnik i niegramotny pomyleniec o nazwisku Bury, jak tylko przyjechał z Ostrawicy, gdzie przebywał przez całą wojnę, pierwsze kroki skierował w asyście żandarma Gasnarka do domu, w którym mieszkaliśmy, gdzie bezprawnie zrobił rewizję. Domagał się też natychmiastowego aresztowania mojego ojca „za współpracę z okupantem”. Następnym razem zmienił zdanie i domagał się zamknięcia mojego ojca za to, że „nie współpracował z okupantem”.

Kierownik czeskiej szkoły Nowak, przy pomocy tego samego usłużnego żandarma Gasnarka, zabrał nam (aby zniszczyć) dziesiątki polskich książek z biblioteki Macierzy, które udało nam się szczęśliwie przechować przez całą okupację niemiecką. W czasie następnych samowolnych rewizji zrabowali nam wiele cennych polskich dokumentów oraz mundury Ochotniczej Straży Pożarnej, które ojciec swego czasu

¹⁶ Gospodzki (gwara śląska) – karczmarz

zakupił za własne pieniądze (m.in. drelichowe robocze oraz reprezentacyjne białe i wizytowe – sukienne ciemnoniebieskie). Wytoczył również ojcu proces sądowy i szantażował go na różne sposoby po to, aby go zmusić do opuszczenia rodzinnego Zaolzia.

Inny niespełniony bojowiec Drong (poprzednio nazywał się Drąg), który przez całą wojnę konserwował się w morawskiej Studziencie, obecnie wyżywał się na Polakach, strzelając m.in. do sąsiadów z przywiezionego ze sobą karabinka. A nam otrął kożę.

Hitlerowiec z SA Tolasz otrzymał w pierwszej kolejności eleganckie mieszkanie w nowym budownictwie Trzyńca w zamian za szkalujące donosy na Polaków, tym razem składane do władz czeskich. Hajtowiec Szturc pełnił podobną rolę w Czeskim Cieszynie.

Dziś to już historia, która ulega zapomnieniu na zawsze.

Warszawa, dnia 27 czerwca 2005 roku.

Stracone lata młodości i złudnej nadziei

Stracone lata młodości i złudnej nadziei